

200.000 wczasy 151.
KORNEL MAKUSZYNSKI.

**POCHWAŁA
„ŚLUBÓW PANIENSKICH“**

Odczyt wygłoszony w grudniu 1916 r.
w Teatrze Polskim w Kijowie.



KIJÓW—1917
Nakładem redakcyi dwutygodnika
ilustrowanego „PRZEDŚWIT“.
Puszczińska № 12, m. 18.

<http://rcin.org.pl>

POCHWAŁA „ŚLUBÓW PANIEŃSKICH“.

KORNEL MAKUSZYŃSKI.

**POCHWAŁA
„ŚLUBÓW PANIENSKICH“**

Odczyt wygłoszony w grudniu 1916 r.
w Teatrze Polskim w Kijowie.



**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA**
00 330 Warszawa, ul. Nowy Świat 77
Tel. 26-68-63

KIJÓW – 1917
Nakładem redakcyi dwutygodnika
ilustrowanego „PRZEDŚWIT“.
Puszczyńska № 12, m. 18.

F. 7484



7484

Drugi z kolei odpoczynek w cyklu rozwojowym dramatu polskiego, w drodze przez rozkwieczone pole dramatycznej twórczości polskiej, wypadł polskiemu teatrowi kijowskiemu w starym, cichym dworze Aleksandra hrabiego Fredry, w najmilszym, modrzewiowym domu, w którym dwie polskie panienki złożyły swe straszliwe „śluby panieńskie“.

Na wnętrzu tego domu przyszliśmy spojrzeć z rozrzewnieniem i z tym dziwnym, szczęśliwym uśmiechem, po którym, — gdzieś na rzęsie, — cichutka pozostaje łza. Z tem rozrzewnieniem ogląda się stare, rodzinne klejnoty, w których mniej jest wprawionych djamentów, więcej za to słonecznych promieni, co wchodziły we wnętrze polskiego domu przez malutkie otwory w kształcie serc, w okiennicach wyciętych.

Biedny jest skarbiec pamiątek polskich i więcej w nich zasuszonych kwiatów nagrobnych, więcej nanizanych w różaniec łez, niż świetnych kamieni i świetnych blasków. Lecz w tem naro-

dowem muzeum, które się przegląda w wielkiem milczeniu i ze sercem ściśniętem, napotyka się od czasu do czasu, jakgdyby okruchy słońca, ukryte pod szkłem w gablotce, jakgdyby kwiat, wieczyście kwitnący i nie ulegający zwiędnięciu, jakgdyby promień z przeczystego polskiego nieba.

Ogarnia nas wtedy wzruszenie i dobra radość napływa w serce, które smuciło się, mniemając, że mu już wszystko odjęto, co tylko odjąć było można. Cieszy się jasną radością dusza, poznawszy, że kwiaty najświetniejsze rosną na spękanej, szarej ziemi polskiej. Roześmieją się słodkim, dobrym uśmiechem oczy, widząc, że nie żyły tylko są dla nich. I w owych chwilach, dumna i tęczowa, a czasem na śmierć smutna dusza polska, zmienia się w duszę dziecięcą i śmieje się śmiechem dziecięcym, bo tak już jest—źle czy dobrze, Bóg to wie jeden,—że i w siwym, starym dostojnym Polaku, jest zawsze coś z dobrego dziecka.

Oto wśród tych nieziemskich bogactw polskich, wśród tych skarbów, których „nie spali ogień, nie zabierze woda“, wśród których, jak słońce, błyszczą mowa polska, związana z kwiatów i z piorunów, wśród których krwawi się cudotwórcze, wiecznie żywe serce wielkiej poezji polskiej, wśród nich tysiącami kolorów gra i jaśnieje jak złotem lity bogaty pas słucki — polski

śmiech. A to śmiem powiedzieć, że więcej dobrego zdziałał w życiu naszym ten śmiech czysty i jasny, niżli to przypuszczamy sami.

W wielkiej, ogromnej pracy kształtowania i zachowywania w nieskazitelności duszy polskiej, spełnił on udział swój skromnie, a wspólnie. Kiedy Prometeusze poezji naszej ciskali w krater polskiego wulkanu serca własne, byle tylko gorzał żywym ogniem i nie wygaś ani na moment jeden, kiedy polska modlitwa uczyła wytrwania w bólu, co był ponad siły ludzkie, — wtedy on, jasny śmiech polski, wieczysty, pogodnie uśmiechnięty tułacz, on, filozof pogodny i beztroski, chodzący w wytartym kontuszu i w czemś takim, co całe buty przypomina, włożył się po smutnych drogach i cieszył. Uczył, jak zapomnieć o szarzyźnie, jak czynić, by się chleb gorzki wydał słodkim, a niebo ołowiane, by się wydało pogodnem.

Śmiech każdy ma jedną właściwość dziwną i mocną: oto łączy ludzi, podczas kiedy smutek ludzi odosabnia. Śmiech polski, który jest do prawdy, że śmiechem na świecie najmilszym, jeśli o tę władzę idzie nad duszami, umie czynić cudy. I czasem stawał się ucieczką jedyłą, czasem bywał panaceum na wszystkie choroby duszy.

Śmiech polski jest inny, niż wszystkie. Nie ma w nim żadnej poprawy, niema w nim żadnych korzeni cierpkich i podniecających, jest w nim za to dźwięk czysty i świeżość rzeźwiąca źródlanej wody. Niema w nim bolesnej cierpkości i niema żądła, jest za to radość rubaszna i huczna, niema w nim plugastwa i cynizmu, jest za to pańskość i dworna przystojność. Tak śmieliśmy się od wieków i tak się śmiał pan Zagłoba, który nie znał Bergsona „Studjum o śmiechu“ i tak się śmiał po raz ostatni lat temu równo czterdzieści, najmilszy Fredro.

2 | Żeby uzupełnić pochwałę polskiego śmiechu i uczcić go za jego wielką i szlachetną w życiu naszym rolę, należy przypomnieć, że jest on szlachetnym zdrowiem duszy polskiej, którą los sprowadził w pobliże atmosfery dusznej i bagnistej, w dantejski krąg, w którym potępieńcy plu ją we własną twarz człowieczą, w pobliże, gdzie pijana filozofja szuka wśród przekleństwa i nagrawań się z samego siebie, zagadki życia.

Kiedyś Hegesijas filozof, Hegesijas „nawiający do śmierci“, uczył ludzi pogardy życia i śmiertelnej rozkoszy. Straszliwy ten filozof miał wielu uczniów, w widmie śmierci bowiem jest ten tajemniczy urok, którym woła każda przepaść i każda otchłań.

I do Polski przyszła taka niepolska gnuśna melancholja, przy płynął strumień zateęblej wody z bagnistego jeziora i rozlał się po literaturze i po duszach, szczególnie po duszach młodych, które zapomniały śmiechu i zapomniały o tem, że największym cudem boskim, jest cud życia. Modą nieznośną i nierozumną, manją obcą i szkodliwą, przeczącą naturze polskiej, czystej od korzeni do liści, stało się samoudręczenie, rozpacz głucha, a wciąż dyskutująca, pragnienie zniweczenia się i sponiewierania. Zaczęły się włóczyć wśród jasności polskiego słońca karykatury Hamletów, trupy na urlopie, owrzodziałe dusze z taniach tłómaczonych filozoficznych romansów i pluły na wszystko i pluły w śliczne niebieskie oczy duszy polskiej. Jakżeż łatwo, z jaką radością huczną i promienistą zdoła w jednej chwili pognać tę zabłoconą, wynaturzoną filozofję, sprzedawaną młodzieńcom polskim przez żydowskich faktorów nowych tandetnych ideji, jakżeż łatwo rozgromi ten klub samobójców jedna komedja Fredry, komedja, która serce ma promieniste i duszę, pachnącą jak kwiaty.

Oto w czem leży nieśmiertelna wielkość Fredry!

On jest strażnikiem niezłomnym polskiego śmiechu, on jest wiecznie żywym świadkiem któ-

ry każdego czasu brylantową mową swoją zaświadczy, że w pokładach duszy polskiej niema zgnilizny, że pień polskiego drzewa jest zdrowy i mocny, z czego wesółym śmiechem radują się liście na wietrze. Komedje Fredry są wieczystym najprawdziwszym dokumentem, że dusza polska nie zna dróg krętych, że myśl polska ma twarz jasną, że mowa polska nie kłamie.

Mówi się o tem, że Polak nosi serce na dłoni. Komedje Fredry są sercem, oprawionem w ramy sceny i pokazanem na widok publiczny: niech na niem szuka skazy, niech w jego serdecznej treści szuka fałszu, kto może!

Serce polskie w komedjach Fredry jest uśmiechnięte, czyż może kłamać uśmiech taki czysty? Nie zna ono uśmiechów dyplomatycznych, śmieje się prawdziwie, bo Bóg sercu polskiemu ten jeden uśmiech przynajmniej dał na ostodę i na wytchnienie. Jest ten śmiech dla nas bezcennym i będzie takim do skończenia świata, aby się stało jasnem, że śmiech polski jest w duszy naszej pierwiastkiem boskim, twórczym i rodzącym, a kiedy trzeba — leczącym.

Widzieliśmy już nie raz, a będziemy widzieli jeszcze pewno wiele razy, dziwne zjawisko: ciągłe powroty marnotrawnych synów, co poszli w świat po nowinki i literackie mody, co poszli szukać niesamowitego dreszczu i nowych odmian

życia, jak wracają z wyziebłą duszą i z wielkim wstydem idą się leczyć już nie do tak słynnych doktorów, jak wielki Fredro, lecz wystają pod drzwiami małych i szarych twórców, którzy rosną wtedy i olbrzymieją. Tak wróciliśmy do Bałuckiego, który miał jedno w sobie wielkie: uczciwy śmiech polski. Tak zwracamy się wciąż ku Fredrze, który już wiele widział i wiele zobaczy, a cierpliwie czeka, dobrotliwie uśmiechnięty, siedząc na kiepskim pomniku we Lwowie, jak się panoszą paralitycznie wykręcone rymy, jak grożą Panu Bogu rozczochrane Hamlety, którzy wiążą rymom ogony, jak Prometeusze w czarnych, rozwianych krawatach „gwiżdżą“ na wszystko, a na to, co polskie przede wszystkim, i jak dorodne dziewice polskie, zamiast doskonalić biedne polskie gospodarstwo, piszą dziesięciotomowe powieści, w których się wszyscy nawzajem uwodzą. Duma sobie o tem stary, wielki Fredro i smuci się, że tak jest, a szczerozłoty polski śmiech wala się po teatralnych rekwizytorniach, albo go szczury gryzą na dworskich strychach.

„Źle w Polsce!“ — mówi Zabłockiego Fircyk. A w nowym polskim teatrze jest najgorzej. Ta, o której już mówiłem manja plucia we własną duszę,—co z sąsiedztwa do nas przyszła, opętała najteńsze talenty polskie dramatyczne; co się po-

każe w polskim teatrze talent młody i żywy, wychodzi na scenę już jako starzec, co widział na ziemi wszystkie plugastwa, przeżył wszystkie cynizmy i uśmiechając się boleśnie, jakgdyby mu to naprawdę ból sprawiało, przemycą pod fałszywą formą fałszywej satyry w ludzkie dusze wiadomości o tem, czego w Polsce nigdy nie było, wiadomości wyssane z palca tych co byli „na dnie“, ale nie u nas.

Komedja polska czasów ostatnich, mniej przypomina świątynię, z której bicz boży dłonią poety wypędza kupczącą ciżbę, więcej za to przypomina kryminał i szpital, szpital, w którym funkcję siostry miłosierdzia, co dobija chorych, spełnia Zapolska. Jej molierowskie zacięcie, jej pisarska werwa i dość fałszywy uśmiech, który ma być dla widzów uśmiechem gorzkim i niby niezmiernie zbolałym na widok tego, co się *niby* w Polsce dzieje, zwiodła całą rzeszę młodych. A to, co się dzieje w komedjach Zapolskiej, wcale nie dzieje się w Polsce, tylko na przedmieściu. Wielki jej jednakże i niezwyčajny talent, czyni z tego publicznego prania bielizny, przynajmniej rzeczy scenicznie zajmujące, jednakże te opary z lwowskiej pralni pani Dulskiej, zamroczyły dziesiątki umysłów młodych i zdolnych i doprawdy serce się kraje na widok tej orgji dulszczyzny,

którą wożą nawet po Paryżach i rozmaitych stolicach, aby obcy myśleli, że w Polsce nikt niczego nie robi, tylko uwodzi służące, okrada lokatorów i łązi po brudnym domu z pierzem we włosach.

Całe, wielkie szczęście, że tegoż zdrowia duszy polskiej, taki śmiech niechlujny nie zatłoczy. Wesolość *takiej* satyry, wyciągniętej gdzieś z nory za włosy, jest sztuczna, śmiech z niej idący jest fałszywy, sukces tego, nic wspólnego ze sztuką nie mającego naturalizmu, jest jednoliniowy i przemijający. I znów przyjdziemy pokłonić się dobremu ojcu, Fredrze, który dobędzie z serca pełne garście przeczystego śmiechu, dzwiczącego jak złoto i rzuci go na zgromadzenie biednych ludzi, których wleczono po prosektorjach i po spelunkach i którym tłómaczono dobitnie, że wszystko powstało z błota i w błoto się obróci.

A jak bardzo broni się polska dusza przeciwko tej niezdrowej i plugawej ewangelji życia i jak gorąco całym sercem lgnie do tego, który się stał nieśmiertelnym symbolem zdrowej radości i śmiechu bez fałszu, dowodem tego najlepszym jest to, że w teatrze polskim panuje ogólne pragnienie i tęsknota powszechna za tem, co jest czyste, jasne i zdrowe. Niedawno oto temu, właśnie w tym czasie, kiedy na teatralnym tronie

polskim, na którym siedziała Balladyna—rozparła się beczelnie moralna pani Dulaska, rozległo się w teatrze lwowskim ciche kwilenie. To kwilił bardzo kiepskim rymem mały talencik Ignacego Nikorowicza, który w wielkim trudzie sklecił komedję, p. t. „W gołębniku“. I wtedy stary Fredro roześmiał się w głos! To było jego za grobem zwycięstwo. Oto komedja Nikorowicza, blada i biedna, w lichej perkalowej sukieneczynie, tak chwyciła ludzi za serce, tak ich rozrzewniła, że udało się tej biednej sztuce przejść przez wszystkie największe i najmniejsze sceny. Co jest tajemnicą tego niezrozumiałego na pozór powodzenia? To mianowicie, że komedja Nikorowicza nie jest niczem innym, tylko ulepkiem na fredrowskich ziótkach, że jest bledziutką kopją, lecz mającą w sobie ton czysty i dźwięk bez fałszu. A ludzie byli tak zmęczeni, taką duszną, niezdrową i plugawą otoczeni byli atmosferą, tacy byli przełekli widokiem rozmaitych niechlujnych wnętrz, pełnych śmieci, że odetchnęli szeroko i lubowali się jasnym powietrzem tej komedji, w której była mowa jedynie o kwiatach i o sercach, czystych, jak kwiaty! A z tego wszystkiego wniosek jeden jedyny: jesteśmy zdrowi i mamy w sobie cześć dla radosnej mądrości życia, które kocha, a nie nienawidzi, które buduje

z miłością a nie burzy złośliwie, przeto talenty polskie, których jest tyle, że ich więcej nigdzie się nie znajdzie, powinny budować w wielkiej, jasnej radości tworzenia, nie zarażać smutkiem i melancholją, lecz krzepić wiarę w życie i rozśoneczniać je śmiechem! Dziś wezwanie to, jest z tej estrady wezwaniem bez siły, lecz jutro zażąda tego od swoich twórców i od swojego teatru nowa Polska. Ci, co będą budowali spalone domy i ci, co będą orali spękaną, wyschłą ziemię, mają prawo żądać od twórców swoich radosnego śpiewu. Nie będzie godnym miana twórcy ten, który ciężkiej pracy przeszkadzać będzie narzekaniem i rozprawą o śmierci, choćby najświetniejszą. Wtedy tym spracowanym ludziom potrzebną będzie radość, tak słodka, jak najśodszy chleb, poezja, która i karmi i poi i dodaje sił i ten śmiech, którego niezmierne skarby są w wielkiem sercu Fredry, ten śmiech, szczerzłoty śmiech polski, którym czasem Bóg sam po pracy śmieje się w niedzielę.

Jak powietrze, tak człowiekowi do życia potrzebną jest poezja. Tęskniąca za nią i łaknąca jej dusza ludzka, znajdzie ją wszędzie, nawet w kałuży, na którą padło odbicie słońca, w potędzie fabrycznej maszyny, w logice rachunku. Nie ma jedynie poezji w zbiorowisku tych dusz



owrzdziały, urodzonych z naturalizmu i przeczących radości życia. Dobro i piękno duszy ludzkiej nie znosi jednakże długo takiego stanu, i wzdryga się wreszcie na myśl, że poezja została sponiewieraną. I wszędzie, na całym literackim świecie, odbywa się nowy chrzest z poezji, odżegnywanie się djabła, kropienie byzopem, przeklinanie metody obłędu. Nie da się powrót ten określić wyraźnie, czuje jednak każdy, że wcale nie pierwszorzędny poeta, Edmund Ro-stand rośnie we Francji do niebywałego znaczenia, dlatego tylko, że w kupczącą, bankierską, do ostatnich granic znudzoną i niczego już w teatrze nie odczuwającą gromadę, rzuca promień poezji romantycznej swojej komedji o Cyranie de Bergerac'u. Tęsknota za nieskalanym pióropuszem, którym poezja powiewa, nadała utworowi temu miano arcydzieła. Gerhard Hauptman, jakby zalękły tem piekłem, które we własnych swoich widział dramatach, szuka na starość czystego oddechu w tym kręgu, w którym Pippa tańczy, a mędrzec jego gra na szkle kieliszków z Murano, ale posłyszeć dźwięk czysty. Od wielkiego smutku, od zagrobowych przeczuć, od widma prześlicznej śmierci w spokoju i ciszy, od subtelnej poezji swojej, lecz smutnej, chroni się

jeden z największych poetów świata, Maeterlinck pod skrzydła „niebieskiego ptaka“.

Czysta poezja koi i uzdrowia i jest jak Be-
atrice, co po niebie prowadzi. Nam się zdarzy-
ło tak szczęśliwie, że przed tem, co szarzyzną
swoją „włazi w uszy, włazi w oczy“ możemy się
schronić zawsze do tego fredrowskiego dworku,
w którym jak pod lipą czarnoleską, odpoczywa
się w spokoju, gdzie się można nadyszeć Ojczy-
zny i poezji. Ten w czamarę opięty, stary
szlachcic, ten piękny Polak, jest bowiem jednym
z poetów naszych największych. Nie dlatego, że
dobre są jego rymy, bujna jest jego fantazja
i słowo jego ma wagę złota, lecz dlatego, że lot
jego zawsze mierzy w górę, w nieziemskość, że
dusza komedji jego urasta do potęgi symbolu ja-
sności i dobra i że wśród jego śmiechu, wije się
zawsze długa złota nić, co się przedzie wprost
z serca, że w komedjach jego miłość, której wszę-
dzie niemal w komedji używa się jako śliskiego
rekwizytu—jest czysta i piękna. Jednem słowem,
w rzeźbionych ramkach śmiechu, zamknięte jest
w dziele całego życia Fredry — prawdziwe, nie-
fałszowane, poetyckie piękno. I to jest jego wiel-
kość i jego nieśmiertelność, to tego polskiego
szlachcica stawia w rzędzie pierwszych komedjo-
pisarzy świata.

W pracującej przyszłości, jakże bardzo spotężniej Fredro, jeśli tylko wielkość—większą się stać może. Można będzie i trzeba będzie czerpać z jego ksiąg pełnemi garściami. A gdy na „Śluby Panieńskie“ zastąpi się rozsunię, zobaczymy, jakie za jego sprawą leżą w polskich lamusach teatralnych niewyczerpane zapasy złota. Jeśli powiedziano o „Weselu Figara“ Beaumarchais’ego, że śmiechem tej komedji, można obdzielić sto komedji nowych, cóż innego można rzec o tym dyamencie ze skarbcza polskiej twórczości? Będziemy do niego wracać wciąż, jak się wraca do źródła światła, aby się przekonać raz jeszcze, by w sobie dumę i godność polską umocnić, że czystym jest polski śmiech i że przezystą jest polska miłość.

Oto wchodzi na scenę, jak słońce. Przeto przypomnieć należy, co się tu za chwilę dzieć będzie:

Nad „Ślubami Panieńskimi“—świeci się napis następujący: „Rozum mężczyzną, białogłową afekt tylko rządzi; oraz kocha, [oraz nienawidzi; nie gdzie rozum, ale gdzie afekt,—tam wszystko“.

¹⁾ Zadumał się Fredro nad wielce prawdziwą sentencją swego dziada, nad affektem białogłó-

¹⁾ „Dusze z papieru“. K. Makuszyński. Tom I.

wskim i nad męskim rozumem, co „świat w posesję wziął“, co wszystko na swą miarę przykroi i co nawet „z węża dryakiew“ przyrządzi.

Zadumał się i z zadumy na światło wywiódł dusze najpiękniejsze, jakie kiedykolwiek chodziły po polskiej scenie.

Parami,—modą poloneza:

Więc najpierw pani Dobrójska, szanowna wielce, a czcigodna; loki jej się kołyszą, jakby do taktu, a ona, końcami palców suknię ująwszy, modli się w duszy, by jej rumieniec na twarz leciwą wy płynął, bo Radość, co po redutach stare nogi włóczy, strzyże oczyma nieprzystojnie w stronę jej białych pończoszek.

Za nimi para prześliczna; jakby Pan Tadeusz z grobu witał i Zosię wiódł!

Gucio i Ąniela!

„Pewnie kochankiem jest tej dziewczyny, pewnie to jego kochanka“.

On modniś, w pyszny frak opięty, wczoraj jeszcze „pod złotą papugą“ harce szlacheckie wyprawiał,—dziś się w jej niebieskie oczy na śmierć zapatrzył i rozmiłowany głosem iej powiada:

„Wierz mi, są dusze dla siebie stworzone;
Niech je w przeciwną los potrafi stronę,
One wbrew losom—w tym, lub tamtym świecie,

Znajdą, przyciągną i złączą się przecie,
Tak, jak dwóch kwiatów obce sobie wonie
Łączą się w górze, jedna w drugiej tonie..“

A ona prześliczną główkę pełną ma przerażających awantur; wszakże ma pod poduszką ukryte „Męża Kloryndy życie wiarołomne“, zrobiła grymas, jakby koto niej krokodyl był, nie Guccio, bo ją przecież straszliwa przysięga wiąże, że nigdy żoną niczyją nie będzie. Lepsza śmierć, albo klasztor, ale już w szóstym akcie, bo w piątym trzpiot Guccio z ust jej straszliwą przysięgę zcałuje, tak dokumentnie, że już po raz drugi przysięgać nie będzie.

W trzeciej parze półdjabłę szlacheckie, srogi kozak w powiewnej sukience, Klara; mówi tysiąc słów na minutę i ciągnie za sobą Albina, „co niezadługo cały w fontannę się zmieni“, albo w morzu własnych łez z rozpaczy się utopi. Cały w westchnienia się zmienił i we wzdychania; smutny jest, bo śmierć nad nim pewna zawisła: z rozpaczy, jeśli go odtrąci Klara, smok ognisty, a z radości, jeśli mu miłość przysięgnie.

Taki korowód przedziwny osób. Taki serdeczny śmiech. Taki słów deszcz obfity, jak kiedy w słonecznym sadzie kwiecie z jabłoni leci chmurą; taki dobry dzień; prześliczna godzina

zadumy i rozważań o sentencji fredrowej, czy też prawdą jest, że nie gdzie rozum, ale gdzie affekt, tam wszystko?...

Oto się scena rozszerzy, powoli... powoli...

I oto po kilku chwilach, kiedy aktor przeczytał już głośno parę kart ze starej, dobrej książki, o tem, jakto dwie panny zacie przysięgły „na kobiety stałość niewzruszoną“...—nie ma już sceny i teatralnej sali, lecz stary, polski dwór, co się już w gruzy zwałił i w upadku legł. Na ścianach sylwetki babek, po kątach gra orkiestra zegarów, ale cicho, żeby nie przeszkadzać rozkochanej parze, co list do siebie samej pisze, grając komedję jak na teatrum, najpiękniejszą scenę, jakiej nie było i chyba nie będzie w komedji polskiej.

„Piszmy więc...”

On mówi, ona pisze.

Prześliczny list: o anielskiem kochaniu, o tęsknocie pałacej, o romansie rozmiłowanych oczu, o nocy bezsennej, o straszliwych przysięgach, o westchnieniach („przynajmniej raz na pół godziny“). Tysiąc słów w jednym słowie, historia obszerna w jednym spojrzeniu.

Śluchamy pilnie. Pieścimy dotknięciem każdego słowa, jak przezczysty, złoty klejnot, wyrobiony misternie. Może jest kto, co jeszcze śpiewał

o Filonie pod jaworem i o psach nieczujnych, sprzyjających kochankom. Może kto przeżywał romanse figurek porcelanowych, wdzięczących się do siebie pod kłozami na etażerce.

Dobry uśmiech wchodzi na wszystkie twarze i jest chwila, żeby się chciało powiedzieć o tem tym wszystkim ludziom na scenie, że się ich niezmiernie miłuje wszystką mocą dusz, zmęczonych bardzo, za każde dobre spojrzenie, za każde dobre słowo, które nigdy nie było czem innym, niż być miało; za każdy ruch, co od serca szedł i świat się zdawał cisnąć do piersi; za każdy uśmiech, który uczonym nie był, lecz z ust wykwiatał, albo z oczu.

I za taką chwilę, kiedy cię coś

„...to w uszach łechce, to, coś w oczach parzy, to biegnie, biegnie, jakby dreszcz po twarzy, to z twarzy w sercu, to jak krople wrzące z serca się w górę, w górę, w górę wznosi...“,

za taką chwilę dziękujesz szeptem samemu sobie, żeś przyszedł na słuchanie słów dobrych.

I nikt się wsruszeń własnych nie wstydził

Więc w rozmyślaniu przychodzimy do przekonania, że jesteśmy ludzie dobrzy, tylko wstydliwi, choć nam sentyment do twarzy. Ma przede stary Fredro przywilej, że przed nim, przed

Brazoski
o Fredku
v
co za
pauza
i wstydliwość

osobą szanowną nie śmiemy udawać kawiarni-
nych cyników i zwyrodniałych daltonistów uczu-
cia i stajemy się sentymentalni, jak ja — mówiąc
te słowa.

Ta moc zdzierania nam z twarzy naiwnie
strojonych masek, to jest wielkość Fredry, która
się potęgą stanie za lat sto, czy dwieście, kiedy
maski do twarzy przyrosną i zmurszeją sztambu-
chy, w których potrafimy jeszcze jako tako od-
czytać namaszczone, a serdeczne sentencje o pro-
stocie ducha. Wtedy—jako skarby bezcenne sta-
ną się te wiersze, w których kamieniem droгим
będzie każdy rym niewybredny...

Niech błogosławi teatrowi polskiemu ojciec
jego, Fredro!



**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA**
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

BIBLIOTEKA IBL

F

7484